

Ks. ANDRZEJ SZOSTEK *

PATRIOTYZM JAKO TWÓRCZE BUDOWANIE TRADYCJI NARODOWEJ. POMIĘDZY SZOWINIZMEM A INTERNACJONALIZMEM

Zacząć chciałbym od przypomnienia wydarzenia, które miało miejsce w Watykanie, 11 września 2000 r. Wtedy to w Auli Pawła VI miała miejsce audiencja papieska. Uczestniczyła w niej przede wszystkim liczna delegacja społeczności Uniwersytetu Jagiellońskiego, która udała się z pielgrzymką do Rzymu, aby uczcić 600-lecie odnowienia uczelni i okazać wdzięczność Janowi Pawłowi II za wielką życzliwość stale okazywaną Uniwersytetowi, w którym późniejszy papież rozpoczął studia, a którego – od 1983 r. – jest doktorem *honoris causa* wszystkich jego wydziałów. Na audiencji obecna też była – dzięki uprzejmości ks. wówczas jeszcze biskupa Stanisława Dziwisza – delegacja Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a ja także miałem honor i szczęście w niej uczestniczyć. Po wprowadzeniu, w którym papież przypomniał wcześniejsze spotkania ze społecznością UJ oraz przesłanie wówczas do niej skierowane, Jan Paweł II powiedział: „Dziś [...], mając na względzie przyszłość Polski i Europy, pragnę zwrócić uwagę na jedno bardzo konkretne zadanie, jakie staje przed wyższymi uczelniami w Polsce, a szczególnie przed krakowskim Uniwersyte-tem Jagiellońskim. Chodzi o kształtowanie w narodzie zdrowego ducha patriotyzmu”¹. Przyznam, że byłem nieco zaskoczony wyborem przez papieża tego właśnie tematu dla tej grupy polskich pielgrzymów. Można było oczekiwać, że apel o kształtowanie „zdrowego ducha patriotyzmu” skieruje Jan Paweł II

* Profesor Instytutu Filozofii Teoretycznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, wiceprezes Lubelskiego Towarzystwa Naukowego.

¹ Ten i kolejne cytaty wzięte z: Jan Paweł II, *Polska potrzebuje świątłych patriotów*, „L'Osservatore Romano” [wydanie polskie] 2000, nr 10, s. 60.

do polityków, szczególnie odpowiedzialnych za przyszłość Polski w Europie. Adresatem tego apelu mogło być wojsko, twórcy kultury, a także środowiska opiniotwórcze (media) oraz uznane w narodzie autorytety, z Kościołem na czele. W środowisku edukacyjnym zadanie kształtowania ducha patriotyzmu spoczywa – jak się zdaje – nade wszystko na nauczycielach szkół podstawowych i średnich. I zapewne również do przedstawicieli tych środowisk mówił papież o mądrej miłości Ojczyzny i o odpowiedzialności za jej przyszłość. Dlaczego zadanie to uznał on za szczególnie ważne i pilne w odniesieniu do Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych uczelni w Polsce?

Odpowiedź (nader zwięzłą, co się tłumaczy charakterem spotkania) znajdujemy w dalszej części papieskiego przesłania – i odpowiedź ta poniekąd wyznacza główny motyw mojego niniejszego wystąpienia. Papież podkreśla dwa aspekty „zdrowego patriotyzmu”, tak potrzebnego dziś Polakom. Po pierwsze: „Wszelka krakowska zawsze była środowiskiem, w którym szerokie otwarcie na świat harmonizowało z głębokim poczuciem narodowej tożsamości”. Po drugie: „kolejne pokolenia mistrzów, profesorów i studentów Uniwersytetu strzegły tego skarbcza [kultury] i współtworzyły go, nawet za cenę wielkich ofiar”. Świątły patriotyzm, szczególnie potrzebny „dziś, kiedy obserwujemy budzący nadzieję, ale nie wolny od zagrożeń proces jednoczenia się Europy”, wymaga więc zachowania swoistej równowagi w dwóch związanych ze sobą wymiarach, charakteryzujących się swoistymi napięciami. Jedno z nich dotyczy zachowania swej narodowej tożsamości, nie zamykającej się jednak na dialog z innymi kulturami i tradycjami (poniekąd z innymi patriotyzmami). Arystoteles powiedziałby, że chodzi o złoty środek między takim pojmowaniem swej tożsamości, która wszelką inną tradycję traktuje jak zagrożenie dla własnej, a takim otwarciem na dialog, które rozmywa własną tożsamość. Drugie napięcie dotyczy relacji między przeszłością a twórczą jej kontynuacją. Tu złoty środek przeciwstawia się zarówno traktowaniu dziedzictwa kulturowego jak muzeum eksponatów, które „prawdziwy patriota” powinien znać, ale których nie wolno mu naruszać, jak i twórczości rozumianej tak, że skarbiec przeszłości nie stanowi dla niej żadnej inspiracji.

Hasła te wydają się tak oczywiste, że aż banalne, ale ich realizacja okazuje się kłopotliwa, a niekiedy kontrowersyjna, co wynika zarówno z niedawnej naszej przeszłości, jak i z wyzwani związanych z nową europejską wspólnotą narodów. Zacznijmy od napięcia: „tożsamość a dialog”.

I. Pomiędzy internacjonalizmem a szowinizmem

Zacznijmy od przypomnienia nieco zabawnej historii, która przydarzyła mi się we wczesnym dzieciństwie, a która stała się dla mnie niezapomnianą lekcją patriotyzmu. Był rok 1952, ja byłem uczniem pierwszej klasy szkoły pod-

stawowej w Grudziądzu. Lekcje z „pierwszakami” miała pani Felicja Lesińska, przedwojenna kwalifikowana nauczycielka religii i języka niemieckiego, dla dzieci „ciocia Fela”, za którą przepadaliliśmy i która była bardzo zaprzyjaźniona z moją rodziną. Tematem lekcji był Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i jego zasługi, zwłaszcza w walce z Hitlerem. Na koniec lekcji Pani zadała pytanie: „Który kraj kochacie najbardziej?” Podniosłem palec do góry i odrzekłem, że najbardziej kocham ZSRR. Pani się zaczerwieniła, wyraźnie skonfundowana (żył jeszcze Stalin, a siedmiolatki nie grzeszą nadmiarem dyskrecji) i ostrożnie mi odpowiedziała, że to bardzo pięknie, że tak kocham ZSRR, chociaż byłoby jeszcze piękniej, gdybym najbardziej kochał Polskę, a zaraz potem jej wielkiego sąsiada. Wydawało mi się to dziwne: to po to mówi się pół godziny o Związku Radzieckim, żeby kochać najbardziej Polskę?! Wróciłem do domu, mama pyta, jak tam w szkole – a ja, trochę prowokacyjnie szczegółowo, relacjonuję tamtą lekcję. Nie zdążyłem przytoczyć odpowiedzi cioci Feli, gdy dwie moje starsze siostry (zwłaszcza starsza, już 13-letnia) zaczęły lamentować: „O Boże, co za wstyd! Jakiego durnia dochowaliśmy się w rodzinie!” – i dalej w tym stylu. Dowiedziałem się, że mówi się na tym świecie dwoma językami: innym w szkole, innym w domu. Ale zacząłem też przeczuwać, że kochać Polskę trzeba, choć jej obraz – i obraz miłości Ojczyzny – nie jest sprawą prostą; że patriotyzm (choć tym terminem dzieci się jeszcze nie posługiwały) wpisany jest w bardziej skomplikowany kontekst, który pozwala wyraźniej o nim mówić w domu niż w szkole.

Myślę, że wielu przedstawicieli mojego pokolenia może przytoczyć podobne historie. Myślę też, że wszyscy pamiętamy, jak wykrzywiane były nasze dzieje, jak tendencyjnie opisywane były stosunki Polski z sąsiadami ze Wschodu i Zachodu, jak krytycznie przedstawiany był okres II Rzeczypospolitej, jak panoszył się wychwalany oficjalnie socrealizm, jak entuzjastycznie komentowano budowę Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina itp. Przy całym szacunku, jaki należy się wielu nauczycielom i twórcom kultury z czasów PRL, trzeba jednak powiedzieć, że był to niemal pół wieku trwający okres bardziej lub mniej intensywnego wynaradawiania Polaków. I nie chodziło tylko o zastępowanie polskiej kultury kulturą rosyjską; z rusyfikacją i germanizacją zmagaly się pokolenia naszych przodków jeszcze przed pierwszą wojną światową. Nie próbowano nam przyswoić wielkiej kultury rosyjskiej w miejsce polskiej. Sowietyzacja, z jaką mieliśmy do czynienia, polegała na rugowaniu wszelkiej kultury, na propagandzie prymitywnych ideologicznych haseł, których powstydziłby się nawet Karol Marks, a której typowym, dla kultury szczególnie zabójczym przejawem była ta dwoistość języka, której doświadczyłem już u progu mojej szkolnej edukacji. Języka oficjalnego nikt z czasem poważnie nie brał, z przedstawicielami PRL-owskich władz włącznie – ale nie należy się tym po-

ciesząc. W ważnym artykule *Sprawa polska* tak o tym pisał Leszek Kołakowski, jeszcze w 1973 r.:

Sowietyzacja może doskonale czynić postępy i urządzać się tam, gdzie nikt w ideologię sowietyzmu nie wierzy. W odróżnieniu od czasów nieco dawniejszych, doktryna urzędowa nie domaga się wcale wiary, żarliwości, wyznawców i fanatyków. Przeciwnie, sowietyzm podmywa skutecznie grunt narodowy tam, gdzie nikt, ale to nikt zgoła ideologii sowietyzmu na serio nie bierze i gdzie za pomyłką uchodziłby taki, kto by zdania codziennie tę ideologię w gazetach wykładające podawał za własne przekonania w nie-publicznych oznajmieniach. [...] Tam właśnie sowietyzacja zbiera żniwo, gdzie za wyczyn umysłowy i moralny albo za ekstrawagancję szaleńczą uchodzi publiczne użycie słów w ich zwykłym znaczeniu. [...] Oto, w jaki sposób wynaradawiać się można niepostrzeżenie prawie, nie tracąc, ściśle biorąc, mowy ojczystej, ale tracąc wartość mowy jako narzędzia narodowego trwania. [...] Kultura narodowa nie jest wszak sztabką złota, którą można w ziemi zakopać i po latach nie-tniętą wydobyć. [...] Jest formą aktualnego trwania narodu. Przecho- wać ją można tylko jako kulturę żyjącą, a więc tylko w opozycji przeciw degradacji mowy publicznej².

Przydługi ten cytat (a chciałoby się go jeszcze przedłużyć) wskazuje na istotę tego procesu wynaradawiania, który bynajmniej nie skończył się ze śmiercią i krytyką Stalina; raczej potem właśnie ukształtował się w mentalności wielu Polaków, podobnie zresztą jak Rosjan i obywateli innych krajów zamkniętych w obozie socjalistycznym.

Reakcją na ten stan rzeczy po 1989 r. był oczywiście ruch w kierunku odzyskania dziedzictwa narodowego, poznania polskiej historii i bogatej kultury, a także – co poniekąd ważniejsze jeszcze – odzyskania „mowy prawdziwej”, przywrócenia sensu mowie publicznej. Ten ruch był zrozumiały i konieczny, dobrze się stało, że miał miejsce, tyle że – jak to zwykle bywa – prowadził często do skrajności przeciwnej: do swoistej „patriotycznej ideologii”: budowania – w szkołach i w mediach – obrazu Polski bohaterskiej, której symbolem był raczej Sienkiewicz niż Norwid. Pamiętamy próbę rewizji listy lektur szkolnych podjętą przez ministra Romana Giertycha, w opinii którego Witold Gombrowicz raczej szkodził, niż pomagał w edukacji patriotycznej (a minister ten zaproponował też osobne lekcje patriotyzmu). Pamiętamy też argumenty wyta- czane przez tzw. eurosceptyków przed wejściem Polski do Unii Europejskiej: podnoszone zwłaszcza w środowisku Radia Maryja larum, jakoby akces do niej musiał oznaczać rezygnację z polskości, swoistą antypatriotyczną kapitulację.

² L. Kołakowski, *Sprawa polska*, w: tenże, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1982, s. 302 n.

Pamiętamy wreszcie bardzo niedawne wystąpienia niektórych naszych polityków wysokiej rangi, którzy na forum UE starali się nade wszystko zaznaczyć polską odrębność, najwyraźniej w przekonaniu, że jest to najlepszy sposób ukazania naszej wyjątkowości i umacniania międzynarodowej rangi. Obawiam się, że są to symptomy ukrytego szowinizmu, który może już dziś nie prowadzi do drastycznych działań antysemitycznych (choć i te wciąż się zdarzają), ale którego istotą jest podejrzliwość, niechęć, a niekiedy jawna wrogość wobec innych narodów i kultur, traktowanych jako wrogie wobec rodzimej i jej zagrażające³.

To paradoks, ale szowinistyczne skłonności z jednej strony stanowią spuściznę naszej historii, z drugiej zaś – ta właśnie historia przynosi szczególnie mocny przeciw nim argument. Szowinizm wynika z historii w tym sensie, że Polska przez wieki toczyła boje z sąsiadami, których – co tu kryć – o nadmiar sympatii dla nas trudno posądzać. Rozbiory, których nie powstrzymał szlachetny zryw Sejmu Czteroletniego i uchwalona przezeń Konstytucja 3 maja (a może je nawet przyspieszył), liczne i z reguły kończące się klęską powstania narodowe, wspomniana rusyfikacja z jednej, a germanizacja z drugiej strony – wszystko to przyczyniało się do tego, by własną tożsamość narodową definiować przede wszystkim w opozycji do wrogich narodów ościennych, czego jednym z symboli stał się „Polak-katolik”, w odróżnieniu od (i w opozycji do) Rosjanina-prawosławnego oraz Prusaka-protestanta. Tę nieufność wobec sąsiadów – wciąż potężniejszych od nas – trudno wykorzenić, zwłaszcza jeśli się pamięta, że trzy XVIII-wieczne rozbiory Polski znalazły tragiczną kontynuację w czwartym rozbiorze z września 1939 r., a następnie w zgodzie państw zachodnich (w aliansie z którymi pozostawała Polska w czasie drugiej wojny światowej) na zagrabienie polskich ziem przez Stalina i na opanowanie kraju przez sowieckiego hegemonia. Zbyt niedawna i zbyt bolesna to pamięć, by najmniej nieskładająca do przychylności także wobec odleglejszych od nas państw zachodnioeuropejskich, by można było łatwo ten bagaż zdjąć (czy u podstaw niezwyklej polskiej admiracji dla USA nie leży między innymi ta zakrzepta nieufność i żal wobec Wielkiej Brytanii i Francji, która każe szukać sojusznika raczej za oceanem niż w Europie?).

Z drugiej strony – jeśli chlubimy się naszym dorobkiem kulturowym i wkładem naszej kultury w kulturę światową, to wskazujemy najchętniej na okres romantyzmu: na Mickiewicza i Chopina, którzy tworzyli na obczyźnie, gdy Polskę wymazano z mapy Europy. O tym, jak polskie są *Pan Tadeusz* i *Dziady*, polonezy i mazurki, nie trzeba nikogo przekonywać. Ale

³ Wedle *Nowej Encyklopedii Powszechnej* szowinizm to „bezkrytyczne umiłowanie własnego narodu, połączone z przekonaniem o wyższości nad innymi narodami i wrogością wobec nich” (por. t. VI, Warszawa 1998, s. 201).

nie wolno zapominać, ile Mickiewicz zawdzięcza Byronowi i Puszkiniowi, a Chopin Bachowi i Mozartowi; że bez tej wymiany idei, bez uczestniczenia w całej atmosferze romantyzmu nie byłoby Mickiewicza i Chopina, jakich znamy i jakimi się szycimy. To samo, rzecz jasna, można i należy powiedzieć o innych twórcach romantycznych i nie tylko romantycznych. Przypomnieć też warto, że jeśli przed drugą wojną światową szczególnie żywotnymi ośrodkami polskiej kultury były Lwów i Wilno, to między innymi dlatego, że oba te miasta skupiały w sobie wiele narodów, religii i kultur. Na tym tle dochodziło często do starć, ten dialog kultur nie przebiegał bynajmniej zawsze łagodnie – ale ta właśnie różnorodność języków i tradycji stanowiła żywną glebę, na której wyrastały cenne dzieła, nie tylko zresztą polskiej kultury. Jeśli dziś jednym z najbardziej żywotnych miast w Polsce jest Wrocław, to z pewnością ma w tym swój udział to, że po wojnie znalazła się tam spora grupa imigrantów ze Lwowa i okolic, łącząc się z wrocławianami, niosącymi w sobie inne tradycje.

Elementarna, zapominana przez szowinistów prawda jest taka, że kultura tworzy się tylko w atmosferze dialogu, bez niego więdnie jak kwiat w wazonie. Podłożem szowinizmu jest strach – to znów konstatacja dość oczywista; obawa, że rodzima kultura jest zbyt słaba, by mogła ostać się w konfrontacji z dorobkiem innych narodów. Zapewne jedną z dróg przełamywania szowinizmu jest rzetelna edukacja, pokazująca wielkie bogactwo tego skarbcza kultury, o którym mówił papież w cytowanym przemówieniu. Ale przytoczone przykłady – a można je mnożyć – przekonują, że nawet słaba kultura w dialogu z innymi nie zamiera, ale przeciwnie, odradza się i umacnia.

Ten medal ma jednak drugą stronę. Chodzi mi o to, że fundusze Unii Europejskiej wyraźnie kierowane są nade wszystko na tę sferę kultury, którą zwykło się określać mianem materialnej. Wspierane są przede wszystkim inicjatywy i przedsięwzięcia związane z gospodarką i jej unowocześnieniem, komunikacją (jak dotąd, w tym zakresie wsparcie to przynosi marne rezultaty) – a jeśli pomoc obejmuje także sprawy społeczne, to głównie pod kątem przystosowania Polski do standardów unijnej demokracji, samorządności regionalnej, tolerowania różnic światopoglądowych i umacniania życzliwości wobec innych narodów. Nikt nie wątpi, że są to potrzeby realne, ważne i pilne; wciąż nam daleko do standardów, jakich wymaga Unia Europejska i do jakich sami aspirujemy. Ale taki nacisk na postęp ekonomiczny, ograniczony praktycznie do materialnych potrzeb człowieka i kształtujący odpowiadające im aspiracje Polaków, jest na dłuższą metę groźny.

Zaczynamy przyjmować postawę, którą Zbigniew Brzeziński określił w swej zbyt mało zauważonej książce *Bezład* mianem „permissywnej kornukopii” (od łac. *cornu copiae* – róg obfitości). Brzeziński rozumie ją jako

„stopniowy rozkład regulującej funkcji kryteriów materialnych jednostki, tak że dominantą kulturową staje się jednostkowy i zbiorowy hedonizm. Erozja wartości moralnych w połączeniu z dowartościowaniem dóbr materialnych wywołuje permissywizm na poziomie działania i chciwość na poziomie motywacji”⁴. Znakomity amerykański politolog zwraca uwagę na to, że dotąd mocarstwa usiłowały usprawiedliwić swą polityczną i ekonomiczną potęgę jakąś szlachetną ideą, której ta potęga miała służyć. Niekiedy (jak w przypadku hitleryzmu) była to ideologia prymitywna lub cyniczna, nawet jednak w ich ramach podtrzymywana była zasada, że dobra materialne, jako dobra z natury swej użyteczne, winne jakimś wyższym celom służyć. Tymczasem po złamaniu komunizmu nie rysowało się przed USA w skali globalnej takie wyzwanie, które by moralnie uzasadniało rozpędzoną już i wciąż nabierającą tempa maszynę pomnażania narodowego potencjału i dobrobytu obywateli. Brzeziński pisał swą książkę przed atakiem terrorystycznym na World Trade Center, ale jego diagnoza nie straciła na znaczeniu po 2001 r., ponieważ odsłoniła mechanizm owego pędu do wygody i luksusu jako celu samego w sobie, który już żadnego usprawiedliwienia nie potrzebuje, redukując wolność do sfery potrzeb konsumpcyjnych, ich zaspokojenie zaś powierzone zostało regulacji prawnej, pozbawionej ambitniejszej, moralnie doniosłej perspektywy. Wywody Brzezińskiego w tej materii wydają się szczególnie trafne:

Permissywizm rogu obfitości stanowi niemal biegunowe przeciwieństwo myślenia totalitarnego. Społeczeństwo, zdolne do niemal magicznego zaspokojenia oczekiwań jednostki, nie potrzebuje przymusu. Może być permissywne – w istocie musi być permissywne – ponieważ w systemie rogu obfitości zaspokajane są wszystkie potrzeby, wszystkie są więc równouprawnione. Nie jest potrzebny ani przymus, ani poświęcenie, lecz społeczeństwo, w którym normą stało się pełne zaspokojenie jednostki, traci też wszelkie kryteria ocen moralnych. Każdy czuje się równouprawniony do brania tego, na co ma ochotę, czy zasługuje na to, czy nie. Osąd moralny staje się zbędny. Znika potrzeba rozróżniania „dobra” i „zła”. Zamiast tego ważniejsze staje się rozróżnienie tego, co „prawnie dozwolone” i tego, co „prawnie zakazane” wedle kryterium pragmatycznych wymogów organizacji społecznej. [...] taki stan rzeczy można określić jako „moralność proceduralną”, opartą na heteronomicznych zasadach postępowania i interakcji społecznych⁵.

W konkluzji Brzeziński postuluje międzynarodowe porozumienie, którego istotnym elementem byłoby „rozumienie, że jest potrzebna wspólna dla

⁴ Z. Brzeziński, *Bezład. Polityka światowa na progu XXI wieku*, przeł. K. Murawski, Warszawa 1995, s. 64.

⁵ Tamże, s. 65 n.

całego świata koncepcja sensu życia, oparta na samoograniczeniu zaspokajania indywidualnych pragnień, bowiem alternatywą totalnej kontroli [którą usiłowały sprawować władze komunistyczne – przyp. A. S.] nie może być chaos wydestający się spod kontroli moralnej”⁶. Warto podkreślić, że autorem tych opinii i postulatów nie jest prowincjonalny duszpasterz, ale uznany w świecie autorytet politologiczny.

Przeciętny Polak książki Brzezińskiego nie zna. Ale czy nie obserwujemy i u nas tego zachłyśnięcia się aspiracjami materialnego awansu, któremu towarzyszy zubożenie na ten wymiar kultury, poprzez który może odnaleźć swoją pełnię człowiek jako istota duchowo-cieleśna? Czy obejmujący cały kraj kryzys instytucji kulturalnych (takich jak teatry, kina, filharmonie), komercjalizacja wszystkich środków masowego przekazu (łącznie z publicznymi, niemogącymi się w dodatku uwolnić od upolitycznienia), prymitywizm przejawiający się między innymi w stereotypie filmów realizowanych na amerykańską modłę oraz w poziomie większości dzisiejszych kabaretów, powtarzające się strajki i demonstracje, których jedynym motywem są żądania płacowe – nie są oznaką głębokiego kryzysu polskiej kultury? Może jest to stan przejściowy, ale obawiam się, że „kornukopijne tendencje”, zauważalne nie tylko w Ameryce, ale i w całej jednoczącej się Europie, są bardziej trwałe, niżbyśmy sobie tego życzyli.

Papież mówił do nas w Roku Wielkiego Jubileuszu: „Tutaj [to jest: w krakowskiej *Alma Mater* – przyp. A. S.] zawsze żywa była świadomość, że Ojczyzna to jest dziedzictwo, które nie tylko obejmuje pewien zasób dóbr materialnych na określonym terytorium, ale nade wszystko jest jedynym w swoim rodzaju skarbem wartości i treści duchowych, czyli tego wszystkiego, co składa się na kulturę narodu”⁷. Na uczelniach, które mają niejako wpisane w swoją misję rozwijanie „kultury wysokiej”, spoczywa niemałe zadanie. Jeśli nawet nie tylko one, to w każdym razie one także – może nawet w szczególny sposób – muszą być ośrodkami, w których tę kulturę lepiej się rozumie, bardziej docenia i wytrwale rozwija. Jak to zrobić: jak pogodzić zadania czysto naukowe oraz dydaktyczne z tą otwartością na szerszy wymiar kultury, który pozwala głębiej odnaleźć narodową tożsamość Polaków; jak kształtować na tym gruncie autentyczny patriotyzm, otwarty na dialog z innymi, ale świadomy fascynującej oryginalności własnego dziedzictwa – to pytanie, jakie musimy sobie wciąż stawiać, bo prostych odpowiedzi na nie nie ma.

⁶ Tamże, s. 197. Por.: A. Szostek, *Europa, chrześcijaństwo i kornukopia*, w: *Europa. Zadanie chrześcijańskie*, red. A. Dylus, Warszawa 1998, s. 308–313.

⁷ Jan Paweł II, *Polska potrzebuje...*, s. 60.

II. Twórcza wierność tradycji

Szkoły nade wszystko są miejscem, gdzie młody człowiek uczy się rodzimego języka, zapoznaje się z dorobkiem twórców narodowej kultury oraz poznaje krajobraz i dzieje własnego narodu i państwa, zaznajamia się z elementarnymi faktami dotyczącymi jego gospodarki oraz struktury życia społecznego. Przygotowuje się do uczestniczenia w dorosłym życiu także na lekcjach matematyki, fizyki i biologii, i tą drogą także zaznajamia się z kulturą narodową oraz światową, ale tak zwane przedmioty humanistyczne (w tym kontekście obejmujące także geografię) są niezastąpionym wprowadzeniem w narodowe dziedzictwo, bez którego patriotyzm pozostaje pustym słowem. I w tym zakresie PRL-owska przeszłość ciąży na nas do dziś. Nie chodzi tylko o dobór materiału na lekcjach języka polskiego i historii; bardziej o to, jak te lekcje są prowadzone. W szczególności chodzi mi o to, jak dalece lekcje te pobudzają do aktywnego włączenia się w nurt poznawanej rodzimej tradycji. Znów chciałbym odwołać się do dwóch przykładów.

Moja znajoma, pracująca także na uniwersytecie, pojechała kiedyś do Niemiec w ramach wymiany międzyuniwersyteckiej. Zaszło jednak jakieś nieporozumienie i zamiast na uczelni znalazła się w szkole podstawowej. Początkowe rozczarowanie zamieniło się jednak w podziw, kiedy obserwowała przebieg lekcji. Był to początek roku szkolnego i uczniowie mieli za zadanie opowiedzieć najciekawsze wydarzenie minionych wakacji. Ale lekcja nie polegała na porównaniu wielu uczniowskich opowiadań i rozstrzygnięciu, komu należy w tym konkursie przyznać palmę pierwszeństwa. Uwaga nauczyciela i zachęconych przezeń uczniów skupiona była na samej formalnej strukturze relacji oraz na sposobie jej prezentowania. Nauczyciel zwracał uwagę na język opowiadania, pytał, czy było ono dobrze skonstruowane i zrozumiałe, czy nie zawierało zbędnych powtórzeń, czy pointa pojawiła się tam, gdzie powinna itp. I w tej dyskusji uczestniczyli uczniowie. W szkole podstawowej! Znajoma (nie polonistka) była zdumiona tym, jak nauczyciel rzeczywiście uczył rodzimego języka, jak wskazywał na jego bogactwo, uwrażliwiał na trafność sformułowań, zwracał uwagę na znaczenie wewnętrznej logiki, która językiem rządzi i przyczynia się do jego piękna. Zapewne nie każda lekcja tak wyglądała, ale ten przykład pokazuje, że nauka języka to nie tylko przyswajanie sobie reguł gramatyki, ale także głęboko pojęta retoryka. Uczniowie zachęceni byli przy tym do aktywności w tworzeniu języka: w znajdowaniu (lub wymyślaniu) określeń najlepiej oddających treść, którą chcą przekazać. Być może moja znajoma miała szczęście trafić na wyjątkowego nauczyciela, być może znaleźliby się tacy także w Polsce (ja sam miałem polonistkę bardzo wymagającą, ale też bardzo dobrą). Za dużo takich lekcji języka polskiego chyba nie ma; kiedy widzę, ja-

kie studenci miewają kłopoty, by wypowiedzieć lub napisać zdanie poprawnie gramatycznie zbudowane, to podejrzewam, że i w szkole wystarczało im posługiwać się monosylabami lub recytowaniem podręcznikowych formułek, by uzyskać pozytywny stopień. Chodzi mi o to, że tylko na tego typu lekcjach, jak przytoczony przykład, młody człowiek naprawdę uczy się języka, odkrywa jego piękno i specyfikę, formuje własne myśli, bo nie tylko myśl wyraża się językiem, ale i język kształtuje nasze myślenie.

Drugi przykład pochodzi już z mojej szkoły. Lubiłem historię (od niej swe studia rozpocząłem); było nas miłośników historii więcej, niekiedy wdawali się w dyskusje dotyczące oceny czynów naszych przodków. Już nie pamiętam, czyj to był pomysł, ale postanowiliśmy urządzić procesy niektórych postaci historycznych. Był to rok 1961 lub 1962, krótko przed maturą. Nauczycielka zgodziła się i ustaliła, że na koniec procesu (a bawiliśmy się przy tym setnie) odbędzie się głosowanie: zwycięzca dostanie piątkę, a pokonany czwórkę. Pierwszy proces dotyczył Bolesława Krzywoustego i dokonanego przezeń rozbitcia dzielnicowego. Wiedzieliśmy, że zgodnie z „oficjalną wykładnią” należało za tę decyzję Krzywoustego ganić, bo zapoczątkowała ona osłabienie i regres polskiej państwowości. Podjąłem się zadania obrony nieszczęsnego księcia. Ile ja się wtedy naczytałem *Polski Piastów* Pawła Jasienicy! Zwracałem uwagę na okoliczności zewnętrzne (wiele małych państw niemieckich), na znaczenie tego, że najstarszy syn Krzywoustego zrodzony był z innej matki niż jego bracia (co groziło wojną domową), przypominałem, że wyznaczeniem dzielnic senioralnej Krzywousty starał się uchronić kraj przed totalną anarchią, podkreślałem wreszcie, że nie wiadomo, co by się stało, gdyby Bolesław tej decyzji nie podjął; łatwo nam być mądrym po szkodzie. I proces wygrałem. A doniosłość ostatniego z wymienionych argumentów poznałem na własnej skórze, kiedy krytykowałem Władysława Warneńczyka za jego zaangażowanie w walkę z Turkami – i proces przegrałem. Nauczycielka prosiła, byśmy nic nie mówili dyrektorowi, a przecież zasłużyła na medal: historia okazała się ciekawa, jej bohaterowie stali się nam bliscy, myśmy po trochu tę historię na nowo pisali.

I znów pytanie: czy nie o to nade wszystko w edukacji patriotycznej chodzi? Nie o samą znajomość dat i nazwisk, które znaleźć można w każdej encyklopedii, ale o włączenie się w pewien nurt naszej kultury tak, by stała się ona bardziej moją własną. Ileż prowokujących problemów, związanych z naszym narodowym charakterem i żywych po dziś dzień, niesie polska literatura! To dlatego właśnie tak niepokojąca była chęć usunięcia Gombrowicza z listy lektur szkolnych. Nie o to chodzi, by w umysłach uczniów ukształtować obraz piękny, bohaterski i pełen szlachetności, ale by był to obraz możliwie prawdziwy. Kochamy Polskę nie dlatego, że jest lepsza niż inne kraje, ale dlatego, że jest

naszą Ojczyzną, tak jak kocham swych najbliższych w rodzinie nie za ich zalety, ale dlatego, że jestem z nimi swymi życiowymi doświadczeniami, sposobem myślenia, wspólnymi planami i pracami szczególnie blisko związany. To trudna lekcja patriotyzmu, ale znacznie głębsza i trwalsza niż tendencyjna i podszyta fałszem ideologia.

Osobną sprawą jest i to, że jeśli już uczeń poznaje w szkole polską kulturę, to praktycznie ogranicza się ona do lekcji języka polskiego i historii, trochę także geografii. A co z polskim malarstwem, muzyką, rzeźbą, architekturą? Oczywiście, brak na to wszystko w szkole czasu, niewielu znalazłoby się pewnie także przygotowanych do takich lekcji nauczycieli. Ale też na szkole edukacja patriotyczna kończyć się nie może. Kontakt szkoły z innymi instytucjami kulturalnymi to osobny temat, godzien przemyślenia. Rzecz nie tylko w tym, by niekiedy do szkoły zapraszać artystów lub też posyłać uczniów do teatru lub filharmonii, ale w tym, by takie spotkania umieć „przetrawić”, by inspirowały one do własnych komentarzy i własnej twórczości. Powracam wciąż do zasadniczej idei, by szkoła uczyła aktywnie myśleć i tworzyć, a nie tylko była miejscem „nabywania wiadomości”. Tylko takie twórcze zaangażowanie włącza młodego człowieka w krwioobieg rodzimej kultury. Gdy tego nie ma, wówczas nasza tradycja, cała „polskość” pozostaje niejako na zewnątrz nas, jako coś, co możemy przyjąć lub odrzucić, tak jak możemy przyjąć lub nie nowego lokatora do naszego mieszkania.

Chyba tą „zewnętrznością” tłumaczy się tak częsta u nas skłonność do popadania w skrajności: albo samouwielbienia, albo gruntownego poczucia niższości wobec innych. Przykładów takich skrajności dostarczają nam w nadobitości spory polityczne (a raczej: partyjne). Trudno nam zdobyć się na taki dystans (nieoznaczający przecież obojętności), który pozwolił np. Brytyjczykom tworzyć dzieła ukazujące całą złożoność Henryka VIII i jego świata. Czy stać nas na podobny film, którego bohaterem byłby Władysław Jagiełło, ukazany także z perspektywy, w jakiej postrzegają go Litwini? A ile zamieszania i emocji budzi w nas problem antysemityzmu w Polsce? Raz jeszcze wraca pokusa szowinizmu, który wbrew szczerzej intencji obrony rodzimej kultury, właśnie jej zagraża przez to, że rzetelne szukanie prawdy zastępuje emocjonalnym przywiązaniem do tego, co swoje i czego trzeba przed obcymi bronić.

W naszym pietyzmie dla przeszłości zapominamy często, że respekt dla tradycji wyraża się jej twórczą kontynuacją, a nie prostym przypominaniem i naśladownictwem. Oczywiście trzeba tradycję znać. Gdy tej znajomości brak lub gdy cała nasza erudycja traktowana jest jak zbędny balast nałożony nam przez upartych nauczycieli, wówczas o żadnej kontynuacji tradycji nie może być mowy. Po prawdzie, o jakiegokolwiek twórczości mowy być wówczas nie może, kultura zawsze bowiem wyrastać musi z jakichś korzeni. Ale rola tra-

dycji polega na tym, że inspiruje kolejne pokolenia do jej kontynuowania: do uwzględnienia nowych warunków życia i nowych kulturowych trendów – a w tym kontekście do rozwijania własnych zdolności i ambicji. Poprzestaną na jednym przykładzie, dla mnie szczególnie poruszającym, jakim jest fenomen Jacka Kaczmarskiego. Niezrównany bard, mistrz małej formy poezji śpiewanej, intensywnej aż do bólu – ale jakże przesyconej tradycją i jak głęboko wpisującej się we współczesność! Ile w jego pieśniach Polski – i ile ożywczej świeżości w spojrzeniu na nią! Wiem, nie każdy ma talent Kaczmarskiego lub Blechacza. Ale pokazują oni, jak wielki potencjał tkwi w naszej kulturze, jak inspiruje ona do coraz to nowego i głębszego spojrzenia na sprawy Polski i Polaków, jak w końcu pozwala odnaleźć i niejako dookreślić poprzez tę tradycję siebie samego.

Zatrzymałem się na kulturze, choć stosunek do niej nie wyznacza całego spektrum miłości do Ojczyzny. Za ten wymiar „światłego patriotyzmu” jesteśmy jednak – jako środowisko akademickie – szczególnie odpowiedzialni. Zacząć musiałem od szkoły, bo bez niej i uniwersytet swej „patriotycznej roli” pełnić nie może. Na jej przedłużeniu jednak rola uczelni jest niezastąpiona. Tu młodzi ludzie, już nieco dojrzałsi, mogą pełniej nią żyć. Tu mają okazję spotkać mistrzów słowa i rzetelnej wiedzy, wejść z nimi w twórczy dialog, formować swoje myślenie i swój świat wartości. Pozostawiam bez odpowiedzi kłopotliwe pytanie, czy i jak dalece sobie z tej roli zdajemy sprawę – my, profesorowie – i jak się z niej wywiązujemy. Jan Paweł II w przemówieniu, które obrałem sobie za kanwę niniejszych wywodów, nawiązuje do swych wcześniejszych rozważań związanych ze znaczeniem określenia *Alma Mater*, które odnosimy do uniwersytetów, i przypomina, że „zadaniem uczelni wyższej jest poniekąd rodzenie człowieka, rodzenie dusz do wiedzy i mądrości, kształtowanie umysłów i serc”. To zadanie wykracza poza zakres patriotyzmu, zarazem jednak wyznacza perspektywę „światłego patriotyzmu” jako takiego, który pozwala rozwinąć się człowiekowi w jego osobowej pełni. Patriotyzm bowiem nie zamyka człowieka w jakiejś niedostępnej dla innych niszy kulturowej ani nie ogranicza jego indywidualności. Raczej przeciwnie: obdarza go takim bogactwem, które z natury swej domaga się rozwoju, zwłaszcza poprzez dialog z zastaną tradycją i z innymi kulturami.

11 maja 2009